

Anarcho-Biblioteka  
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



# Ursula K. Le Guin o rasizmie, anarchii oraz słuchaniu swoich postaci

Ursula K. Le Guin, Euan Monaghan

Ursula K. Le Guin, Euan Monaghan  
Ursula K. Le Guin o rasizmie, anarchii oraz słuchaniu swoich postaci  
sierpień 2015, wydanie polskie 2017

[innyswiat.com.pl](http://innyswiat.com.pl)  
Wywiad ukazał się pierwotnie w 14 numerze „Structo Magazine”  
(<http://structomagazine.co.uk>). Tłum. Mateusz Pietryka. Wydanie polskie  
”Inny Świat” 1/2017 (46).

[pl.anarchistlibraries.net](http://pl.anarchistlibraries.net)

sierpień 2015, wydanie polskie 2017

Ursula K. Le Guin jest najbardziej znana ze swoich wczesnych opowiadań i trudno temu się dziwić. W ciągu sześciu lat napisała „Czarnoksiężnika z Archipelagu” (1968), „Lewą rękę ciemności” (1969), „Jestemy snem” (1971) i „Wydziedziczonych” (1974). Te książki, podobnie jak wiele innych – w tym „Lawinia”, wspaniała historia Lawinii Wergiliusza – służą jako stała inspiracja dla autorów nie bojących się używać wyobraźni, jak Neil Gaiman, Terry Pratchett, David Mitchell, Salman Rushdie i Zadie Smith, która powiedziała, że „Le Guin pisze tak dobrze jak żaden inny żyjący pisarz spoza gatunku [science-fiction]”. Rozmawialiśmy z pisarką w jej domu w Portland, w Oregon.

Euan Monaghan: „Lawinia” to Twoja ostatnia powieść. Ciekawe, że akurat ta książka pojawia się w tym momencie Twojej kariery. Jestem ciekawa skąd wzięła się pomysł.

Ursula Le Guin: Właściwie nie jestem pewna. OK: Czytam „Eneidę” w oryginale, bardzo, bardzo powoli, starając sobie przypomnieć łacinę z liceum; Powoli coś się wykluwa. Na około trzeciej stronie, Lawinia zaczyna przemawiać – „Nie wiem kim jestem. Wiem kim byłam”, rozumiesz? Ta linijka sama przyszła do mnie i po prostu ją spisałam. Jak Joanna d’Arc. Słyszę głosy! Wiem czyje, ale nie wiem co się dzieje – a ona dalej do mnie mówi, więc już wiem, iż to jedna z tych „dyktowanych” książek. To zdarzało się już wcześniej, ale nie w ten sposób. Oczywiście bardzo zaczytywałam się Wergiliuszem, a on sam jest postacią w swojej książce. To było bardzo dziwne doświadczenie. Ja nie podejmowałam żadnej inicjatywy jako autorka, po prostu spisywałam głos, poznając szczegóły całej historii. Coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że pisząc, po prostu odkrywam co działo się dalej. To jak skok w nieznane. Nie podążam wyznaczoną ścieżką; podążam taką, o której nie wiem gdzie prowadzi. Może prócz jednego – spisywałam wszystko jako szło, prócz koloru jej włosów. Po prostu nie mogłam wyobrazić sobie dziewczyny z Półwyspu Apenińskiego jako niebieskookiej blondynki. To by nie przeszło!

EM: Mówiłaś, że już wcześniej zdarzały się podobne sytuacje.

UG: Pierwsza książka, którą napisałam jakby mi ją dyktowano, było „Zeszedł bardzo daleko”. Po prostu usłyszałam głos Owena w swoim uchu. W pierwszej osobie. To był głos przemawiający do mnie w normalnym tonie. I znowu czułam się tak, jakbym odkrywała co dalej się wydarzy. Nie chcę, żeby to zabrzmiało całkiem niepoważnie. Mam oczywiście jakąś kontrolę i czasem coś skreślę żeby poprawić itd., ale to i tak coś niezwykłego. Wydaje mi się, iż taki dar albo się akceptuje albo nie, ja go zaakceptowałam i byłam za niego bardzo wdzięczna, choć może nie do końca – to był pierwszy raz

Delikatnie. Był też bardzo antywojenny, bo żył w strasznym okresie. To bardzo widać w książce.

EM: Ale pracowałaś też nad tłumaczeniami. Studiowałaś francuski i włoski?

UG: Studiowałam francuską i włoską literaturę renesansową na Uniwersytecie w Columbii. Z tego robiłam dyplom. Uczyłam się też na profesora języków romańskich. Ale już tego nie uczą.

EM: Czy tłumaczenia, nad którymi pracowałaś, są właśnie w tych językach?

UG: Jestem dość bezwstydna. To zabawne, że najlepiej znam (lub raczej znałam) język francuski, ale nie za wiele było ciekawych rzeczy do tłumaczenia, a poza tym tłumaczenie z francuskiego na angielski jest trudne. Zaczęłam uczyć się hiszpańskiego, bo wstydziłam się, że go nie znam i zakochałam się w pewnej poetce, Gabrieli Mistral, i tym właśnie jest dla mnie tłumaczenie: zakochiwaniem się w kimś tak bardzo, że chcesz posiąść go w swoim języku. Tak samo moje tłumaczenie „Kalpa Imperial” Angélici Gorodischer, znałam wtedy hiszpański bardzo słabo, ale te teksty są bardzo proste, to czysty hiszpański, bo też są to teksty gawędziarskie i dałam sobie z nimi radę z pomocą słownika. Pomyślałam sobie, „Są fajne! Przełożę je na angielski! Kocham to!” Tak więc wynikło to z mojej nauki hiszpańskiego. Tłumaczenie jest dla mnie darem. To wspaniałe uczucie, móc to robić. W końcu „Lawinia” jest w pewnym sensie prostym tłumaczeniem, małej postaci i wielkich wydarzeń w „Eneidzie”. Tłumaczeniem, transpozycją, interpretacją, ale zaczęło się od tłumaczenia „Eneidy” na angielski. Po to, bym mogła ją zrozumieć najlepiej ja mogę.

sprawy jak dziwną, gdy czytałam o nim jako dziecko, ale myślę, że coś z tego we mnie zostało, a gdy odkryłam, że Scott i Shackleton byli obaj świetnymi pisarzami... Potem „Na krańcu Świata” Cherry-Garrarda, niesamowita książka. Czytałam wszystko co mogłam na ten temat. Nie wiem czemu. Jako dziecko Kalifornii, do 17 roku życia, kiedy poszłam do collage’u, nie widziałam nawet śniegu.

EM: Co wtedy pomyślałaś?

UG: Spadł z nieba! To było wspaniałe! Była bardzo ciężka zima, trochę jak ostatnia, więc Boston i Cambridge zostały całkowicie pokryte śniegiem na miesiące. Myślałam, że tak będzie każdego roku, ale oczywiście aż do teraz tak się nie zdarzyło.

EM: Widziałem „O naturze wszechrzeczy” na Twojej półce w Strand [Biblioteka Strand w Nowym Jorku prosi autorów o podanie 50 swoich ulubionych książek, a potem je sprowadza i wystawia do sprzedaży – przyp. red.]. Jak trafiłaś Lukrecjusza?

UG: Filozofia na Harvardzie. Czytaliśmy Platona, Arystotelesa, Lukrecjusza na pierwszym semestrze i była to poezja – podobnie jak to, co mówił.

EM: Widoczny u Lukrecjusza epikureizm pasuje do anarchizmu, pacyfizmu.

UG: I taoizmu.

EM: Przygotowałaś, choć nie nazwałaś tego tłumaczeniem, wersję „Tao Te Ching” Lao Tzu.

UG: Tak, ale ponieważ nie mówię po chińsku, nie mogłam tego nazwać tłumaczeniem. Innymi słowy, to rodzaj kompendium innych tłumaczeń, a potem tekst chiński, tłumaczony słowo w słowo, co oczywiście jest możliwe tylko w ograniczonym stopniu. A potem J.P. Seaton, chiński uczonego i poeta, tłumaczył mi „tak, możesz powiedzieć, że to oznacza to, ale nie że tamto oznacza tamto.” Potrafił mnie zachęcić i przystopować gdy było trzeba. Chciałam wyrazić większe uznanie wobec niego w książce, ale nie pozwolił mi.

EM: Jak odkryłaś taoizm?

UG: Jako nastolatka, bo książka leżała w biblioteczce w salonie i widziałam, że mój ojciec często ją czyta. Kochał ją. To piękne, stare wydanie, z chińskim tekstem, tłumaczeniem, transliteracją i wolnym tłumaczeniem. Tłumaczenie jest właściwie bardzo złe, ale książka jest doskonała, zakochałam się w niej. Najlepszy okres, by zacząć czytać Lao Tzu to 14 czy 15 lat, bo jest bardzo anarchizujący. „Zarządzaj wielkim krajem, jakbyś smażył moją rybę.”

w moim życiu, gdy przestałam mieć wrażenie, że w powietrzu wisi kolejna powieść. Odkąd napisałam „Lawinię”, znów czuję to samo, wiem, iż nie mam siły i wytrwałości, że znowu coś pisać. Chciałabym, ale nie mam.

EM: Czy pisanie powieści musi być rutyną? Określonym nakładem energii w określonym czasie?

UG: To wielki nakład energii i musi być mniej lub bardziej regularne. Ogólnie wstajesz każdego ranka i dopisujesz kolejne wersy. Albo ciągle o tym myślisz, nieustannie, podświadomie. Jeśli spojrzysz gdzieś, wszędzie to zobaczysz. Napisanie powieści wymaga też fizycznej wytrwałości. Krótkie opowiadanie to kilka godzin wyczerpania i dajesz radę, ale powieść to tygodnie i miesiące ciężkiej pracy. Kocham to, to najlepsza praca na świecie, ale musisz mieć to coś, a przy moich 80 latach na karku już tego nie mam.

EM: Znam 20-latków, którzy mówią to samo.

UG: Najtrudniej jest zacząć.

EM: W pociągu po raz kolejny czytałem „Zewsząd bardzo daleko”. Nie czytałem tego od dawna, ale wciąż brzmi bardzo... prawdziwie. Fajnie było do tego wrócić.

UG: Książka ma prawie 40 lat, więc dziś może wyglądać dla dzieciaków na niezłe staroświecką.

EM: Gdy pierwszy raz ją czytałem, nie wiedziałem kiedy została napisana. Nie wydaje mi się, żeby łatwo to było odgadnąć z książki.

UG: Starąłem się nie przytaczać modeli samochodów.

EM: No tak. Dziś samochód kosztuje 3 tysiące dolarów, czy coś takiego.

UG: No właśnie. Że co!?

EM: I właściwie tylko to skłoniło mnie do myślenia.

UG: I nie ma tam elektroniki. A dzisiaj młodzież nie wyobraża sobie życia bez niej.

EM: To jest chyba problem pisarzy opowiadających o wszelkich czasach. Brak elektroniki.

UG: No cóż, młodzi muszą sobie z tym poradzić. Muszą użyć wyobraźni i zdać sobie sprawę, iż to wszystko wciąż nowość. Że niektórzy ludzie wciąż nie używają technologii. W Mongolii wciąż nie ma za wiele komórek, a ludzie nie potrafią sobie nawet tego wyobrazić. Choć oczywiście Mongolia chciała mieć komórki...

EM: Brak zasięgu to moja ulubiona część podróży. Czy przyjechałaś pociągiem z Chicago do Portland?

UG: Tak. Często podróżuję tu pociągiem. Dojeżdżałam do collage'u z zachodniego do wschodniego wybrzeża. W Chicago przesiadało się w inny pociąg i jechało bardzo długo.

EM: Powiedziałaś, że nie masz siły na pisanie nowych powieści. A teraz nad czymś pracujesz?

UG: Bardzo rzadko przychodzą mi do głowy jakieś historie. Lepiej jest z poezją. Piszę też blogi. Tu wychodzą różne rzeczy. Ludzie proszą mnie, bym napisała to czy tamto i nawet nieźle bawię się przy tym. Dziś poproszono mnie o przygotowanie czegoś do – znasz tą antologię „Wiersze, które sprawiają, że mężczyźni płaczą”? No więc powstaje wersja kobieca i mnie do niej zaproszono. To fajny pomysł, a poza tym to dla Amnesty International.

EM: Wracając do początku: Czy nie myślę się, że w latach 1951-61 napisałaś pięć powieści i wszystkie zostały odrzucone?

UG: Wszystkie złożyłam naraz. Pierwsza, bardzo amatorska i dziwna, o kilku wiekach z życia rodziny w Europie Środkowej, trafiła do Alfreda Knopfa, który napisał: „jeszcze kilka lat temu mógłbym coś takiego opublikować, potraktować to jako wyzwanie. Ale nie stać mnie już na to.” To był ładny list, wspomniały list dla 21-latki od Knopfa. I to zachęciło mnie do dalszego działania.

EM: Ale zadebiutowałaś jako poetka.

UG: Tak.

EM: W małych pisemkach?

UG: Tak. Jedno z opowiadań, które wtedy napisałam, zostało opublikowane jako „Malafrena” [historia spoza science-fiction, osadzona w fikcyjnym kraju w Europie Środkowej – Orsinii – przyp. red.]. Pierwsze dwie powieści, jakie opublikowałam w magazynach fantasty, to „An die Musik” oraz „Kwiecień w Paryżu”. I dostałam za to pieniądze. 30 dolarów. Pomyślałam sobie, „jest dobrze!”, bo żyliśmy raczej skromnie. „Hmm... a może stworzyć więcej fantasty, science-fiction, czy czegoś innego? Nie tylko tego chcą, ale jeszcze płacą!” Jak jakaś najemniczka. To było bardzo interesujące, mieć to uczucie, że znalazłam rynek, który naprawdę rozumie co robię, zamiast mówić „Pisziesz bardzo dobrze, ale niczego nie rozumiemy”. Bo to co pisałam, często było w jakiś sposób nierealistyczne.

EM: Czy zapłacił jeszcze jakiś magazyn, o którym nie wiemy.

UG: Nie byłam zupełnie zdecydowana na fantasty i science-fiction. Ale myślałam, że to było moje przeznaczenie, bo wtedy tylko na tym rynku sprzedawały się rzeczy z fikcji. W końcu to był szczyt modernizmu. Liczyła się jedynie literatura realistyczna. Im bardziej, tym lepiej. Wyobraź sobie jakim szokiem

UG: Znał swoje prawa!

EM: Wróć jeszcze na chwilę do poezji, w „Dancing at the Edge of the World” mówisz o problemie, jak to wiersze pisarzy są często odrzucane, tylko dlatego, że napisali je pisarze.

UG: Czyści poeci traktują nieczystych poetów raczej protekcyjnie. Może zawsze tak było, ale nie wydaje mi się. Kiedy zdecydowano, że możesz pisać tylko poezję lub prozę? Myślę, że w XX wieku. Cały ten podział na gatunki zaczął być przestrzegany bardzo rygorystycznie. Mamy takie osoby jak Virginia Woolf, która nie pisała żadnej poezji, mówiła, że nie potrafiłaby napisać nawet rymowanki, choć czasem to robiła. Keats z pewnością nie napisał żadnych opowiadań. Ale jest też wielu, którzy piszą zarówno poezję i fikcję. Zacznijmy od Goethego! Nie możesz tak po prostu zignorować Goethego. Myślę, że jest o wiele lepszym poetą niż pisarzem, ale jednak.

EM: Twoja poezja ubóstwia krajobrazy. Pochodzisz z Kalifornii, ale większość życia żyłaś w Portlandzie?

UG: 51 lat, czy coś takiego. To ciągle zachodnie wybrzeże.

EM: Rozumiem, dlaczego kochasz to miejsce. Wystarczy wyjść przez okno, by zobaczyć piękny krajobraz.

UG: Och, ten kraj... wiele razy przemierzaliśmy go samochodem i pociągami, bo Charles [mąż, Charles Le Guin, jest emerytowanym profesorem historii na Portland State University – przyp. red.] jest z Georgii. I tak jeździliśmy w obie strony. Cała droga jest wspaniała. Są części Teksasu i Arkansas, które najlepiej przepaść, ale to tyle.

EM: To świetnie. Ten temat przewija się przez twoją poezję i prozę.

UG: Jest w nich dużo krajobrazów. Niektóre z moich książek, jak „Grobowce Atuanu”, wzięły się z krajobrazów. Z pierwszego ujrzania pustyni.

EM: Jakiej pustyni?

UG: Południowo-wschodni Oregon. Wysoka pustynia, ponad 1200 metrów. Pustynia porośnięta bylicą, z pagórkami i górami w oddali. O tak. Byliśmy tam tylko dwa lub trzy dni, ale wróciłam z książką. To najlepszy przykład, jak widzisz jakieś miejsce i myślisz „Och, muszę tu spędzić trochę czasu.” Wydaje mi się, że większość krajobrazów, jakie wymyśliłam, wywodzi się z tych, które widziałam.

EM: Czytasz sporo tekstów odkrywców bieguna.

UG: Tych sprzed ery maszyn, jak Scott i Shackleton. Jako dziecko w latach 30. posiadałam książkę o Admirale Byrdzie. Miał bazę o nazwie Mała Ameryka. Zrobił coś naprawdę szalonego: opuścił bazę i siedł samotnie przez sześć miesięcy. Napisał książkę „Alone”. Był dziwną osobą. Nie zdawałam sobie

bardziej postępowi niż rząd. Ale w innych kwestiach, im więcej się zmienia, tym więcej pozostaje jak było.

EM: Nie wiem czy zauważyłaś, że w świecie magazynów literackich zmiana jednak następuje.

UG: Mam nadzieję. W kwestii recenzji książek, „TLS” jest zdecydowanie najgorsze. „New York Review of Books” przestałam czytać dawno temu, więc może zmienili się, ale wtedy byli to mężczyźni recenzujący mężczyzn. Jeśli kobieta była dopuszczona, musieli znajdować żeńską recenzentkę, bo mężczyzna nie mógł przecież marnować swojego czasu – a jak często „TLS” pozwala kobietom recenzować mężczyzn? Niezbyt często. A nie zauważyłam, by „London Review of Books”, który został założony przez kobietę, był wiele lepszy.

EM: Czy dzieje się tak, bo dziś jest tego więcej [rasizmu, seksizmu itd.], czy dlatego, że częściej o tym słyszymy?

UG: Nie, nie ma tego więcej niż kiedyś. Tylko jest po prostu bardziej defensywne i wściekłe. Jakby czuli się popychani. To moja, optymistyczna interpretacja Polyanny. Tylko tak mogę nadal mieć nadzieję po takich wydarzeniach jak w Charleston [masowa strzelanina w 2015 roku]. To obrzydliwy, malutki człowieczek. Czego tak się bał? Ale problem dostępu do broni istnieje, to ten poziom groteski, którego nie da się wyrazić słowami.

EM: Czy ktoś próbował ostatnio zakazywać twoje książki?

UG: Jeśli nawet, to nie słyszałam. Cała ta afera w kościołach ewangelickich. Myślę, że ci ludzie bardziej angażują się w politykę niż palenie książek. Ale przerażające jest to, jaką kontrolę mają te kościoły nad radami lokalnych szkół. Ludzie się nudzą, więc nachodzą rady szkolne lub wstępują do nich, a to co w efekcie czytają dzieci, jest ogłupiające.

EM: Czy były pretensje do jakiejś konkretnej z Twoich książek, czy ogólnie?

UG: Raczej ogólnie, bo cała fantastyka jest dla nich dziwna, bo jest satanistyczna. Każda fantastyka. Zaangażowałam się w obronę jednej z moich książek, to było w południowym Waszyngtonie, tuż za rzeką. Rzucili się na „Jesteśmy snem”, ludzie chcieli ją wycofać, rzekomo za wulgarny język. Ale było jasne, że tak naprawdę wkurzał ich romans czarnej kobiety z białym mężczyzną. Było to liceum, a obrona książki została zorganizowana przez dzieciaki, które wypadły naprawdę świetnie, to dodało mi otuchy. To było dawno temu. Jeden z nich powiedział, „Myślę, że to naprawdę głupia książka, ale nie życzę sobie, by ktoś zabraniał mi jej czytać.”

EM: Świetnie.

był magiczny realizm, bo tak właśnie zostało to nazwane. Dziś wydaje się to bardzo dziwne.

EM: Wydaje się, że większość Twojej twórczości to eksperymenty z przestrzenią lub ze społeczeństwem. Kolejna książka, którą przeczytałem ponownie w pociągu to „Changing Planes”, w której pojawia się sporo pomysłów, z jakich mogłyby powstać nowe powieści.

UG: Wtedy czułam, że się starzeję, uczyłam się pisać krócej i zwięźlej – po prostu szybko wycisnąć pomarańczę i iść dalej – ale te historie pisało się bardzo miło, ponieważ nie zajmowały aż tak dużo czasu. Fajnie było zbudować z nich jedną całość. Niektóre wyszły lepiej, inne gorzej.

EM: „Wydzieziczeni” to jedna z twoich najbardziej znanych prac. Czy wcześniej pisałaś coś, co tak jasno nawiązywało do anarchizmu?

UG: Nie wydaje mi się. Między innymi dlatego zabrałam się za tę książkę. Od roku lub dłużej zaczytywałam się o pacyfistycznym anarchizmie. Zaczęłam od tekstów o non-violence – Gandhiego, Martina Luthera Kinga i tak dalej – po prostu ucząc się o non-violence, a to zawiodło mnie do Kropotkina i innych, którzy mnie zafascynowali. W Portland kiedyś istniało setki niezależnych księgarni, a jedna z nich była polityczna, gdy gość cię znał, zabierał cię na zaplecze do anarchistycznych materiałów.

EM: A kiedy to było?

UG: Kiedy powstała książka? We wczesnych latach 80.? Późnych 70.? Ten lokal miał mnóstwo świetnych rzeczy, ciężkich do znalezienia. Choć już nie dzisiaj. I oczywiście dowiadywałam się też o współczesnych pisarzach anarchistycznych. Bardzo mnie to ekscytowało. A w tym samym czasie, czytałam różne utopie. I mogłeś znaleźć utopie o wszelkich systemach politycznych, tylko nie o anarchizmie. Czy to nie dziwne? No cóż, pomyślałam sobie, iż taką napiszę. Więc musiałam przeczytać wszystko jeszcze raz, aby zaplanować sobie jak wyglądałaby Ziemia z anarchistycznym społeczeństwem, było fajnie, ale ciężko.

EM: Szczególnie uwzględniając skalę.

UG: Nawet na słabo zaludnionej planecie, jest wiele ludzi do zorganizowania.

EM: Napisałaś w jednym eseju, że Utopia, z dużej litery, powinna być rozważana jako praktyczna alternatywa. To mnie uderzyło.

UG: Nie musiałam o tym za wiele myśleć. We własnej głowie przeszedłam spory kawałek drogi od utopii z „Wydzieziczonych” do pół-utopii z „Wracać wciąż do domu”, gdzie starałam się opisać to po prostu jako styl życia. Nie było tam żadnej polityki, w sensie polityki europejskiej czy jakiegoś dużego

państwa, więc ludzie pomyśleli, że staram się idealizować Indian Amerykańskich czy coś takiego. A ja wzięłam od Indian tylko wątki prowadzenia swojego życia bez centralnego rządu oraz wykorzystanie konsensusu jako podstawowego rozwiązania, którego nie możesz wykorzystać w wielkich społeczeństwach, to kwestia liczb. Ale chciałam pomyśleć jak to mogłoby być. Myślę, że przez ten brak polityki niektórzy czytelnicy myślą, iż to jakiś prymitywizm, a niekoniecznie tak jest.

EM: To miało spory wpływ na mainstream.

UG: Tak. Napisać poważną powieść utopijną, która w dodatku jest anarchistyczna. Tego jeszcze nie było, ciężko nawet było zdobyć anarchistyczną nie-fikcję, a co dopiero tekst fikcyjny w całości o anarchistach. To zrobiło różnicę.

EM: Szczególnie jeśli chodzi o neutralne płciowo zaimki. Mówi się o tym od dłuższego czasu, ale dopiero teraz temat się przebija. Pokazuje to znaczenie języka.

UG: Oj tak. Gdy zaczynasz szukać języków neutralnych płciowo, co znajdujesz? Trochę japońskiego i fińskiego... Fiński jest neutralny płciowo, co mi się podoba. Więc tłumaczenie „Lewej ręki ciemności” to dla nich nie lada wyzwanie.

EM: Twój aktywizm, twoje rozważania o takich sprawach jak anarchizm, ulegają zmianie.

UG: To dla mnie trochę zawstydzające, gdy chwalam mnie anarchiści. Bo – choć bardzo ich lubię, a pacyfistów kocham – jestem burżuazyjną żoną, nie praktykuję anarchizmu.

EM: I nie musisz.

UG: Dobra, anarchistyczna odpowiedź.

EM: Jedną z moich ulubionych rzeczy w Twojej twórczości jest to, że mniej więcej w dwóch trzecich książki zdajesz sobie sprawę, iż bohater nie jest biały. To subwersja w najlepszych stylu.

UG: To było naprawdę subwersywne, gdy zaczęłam to robić w „Czarnoksiężniku z Archipelagu”. Z resztą to w ogóle ciekawa sprawa. To było całkowicie zamierzone z mojej strony. Po prostu byłam zmęczona tymi wszystkimi białymi bohaterami. Ale wiedziałam, że jeśli wyjdę z tym bezpośrednio, w USA moi bohaterowie będą postrzegani jako czarni, o afrykańskich korzeniach. A to wciąż jest problem jeśli chodzi o okładki i filmy. Wiele osób chce zrobić film, a ja brzmiałam dla nich jakbym mówiła, „no więc weź Tigera Woodsa.” Spróbuj wyobrazić sobie, iż nie możesz umiejscowić go na ziemi, bo to

źle się skończy. Co za kraj. Rasizm w Ameryce... pod pewnymi względami jest coraz większy.

EM: I nie tylko tu.

UG: To prawda.

EM: Choć mówienie o tym stało się dziś nieco mniej problematyczne.

UG: W pewien sposób tak. Z drugiej strony, mamy olbrzymią nienawiść do Obamy, bo jest czarny, choć na głos mówi się o tym tylko w zamkniętych pokojach i knajpach. Senatorowie, którzy chcieliby go zniszczyć, nie mogą otwarcie mówić dlaczego. Oczywiście to się dzieje w Ameryce od pokoleń.

EM: To wspaniałe, że w swoich książkach ta kwestia nie jest wyłożona bezpośrednio, ale wręcz przeciwnie, przez to działa z większą siłą.

UG: Bardzo lubię powtarzać, że w ostatnich pięciu czy sześciu latach, ludzie piszą do mnie, iż „W Twoich książkach po raz pierwszy spotkałam czarnego protagonistę. Chciałam czytać fantasy, chciałam czytać science-fiction, ale nigdy ich tam nie było.” Ci ludzie piszą do mnie jako dorośli, choć czytali mnie jako nastolatki. To naprawdę poruszające. „Świetnie! Zdziałało!”. Zauważyli to. A wiele osób nie zauważa.

EM: To chyba dobrze?

UG: Tak. Naprawdę nie zauważają. Oczywiście, okładki nie pomagają [na okładkach niemal zawsze rysuje się białych bohaterów – przyp. red.].

EM: O co chodzi z tymi okładkami?

UG: Dziś jest już trochę inaczej. A ten rysunek? [Wskazuje na kominek] To bardzo wstępna, wczesna próba artysty do zilustrowania „Czarownika z Archipelagu”, wydawanego przez Folio. Nazywa się David Lupton. Wysłałam mu kilka zdjęć Indian z Wielkich Równin, a jeśli nie idziesz w stereotyp garbatego nosa, dostajesz przeciętną, uniwersalną ludzką twarz. Z tego poziomu miał wystartować, dodając jeszcze trochę cech azjatyckich. Dziś mam wystarczająco dużo odwagi, by powiedzieć, że nie akceptuję okładki.

EM: W swoim zbiorze esejów „Dancing at the Edge of the World”, piszesz, że biały i/lub płci męskiej autor czy redaktor lub ktokolwiek inny, musi poważnie zastanowić się nad swoimi przywilejami. To zostało napisane w latach 70. Musiało upłynąć sporo czasu, nim ludzie zrozumieli o co w tym chodzi.

UG: No cóż. Spytaj kogokolwiek, kto uznawał się za feministkę w 1970, jak daleko zaszliśmy. Pod niektórymi względami, oszałamiająco daleko. Cała debata na temat konstruowania płci i tak dalej, jest wspaniała. I ta zmiana w USA wobec gejów, hetero... wow! Ciężko w to uwierzyć. Ludzie są tu znacznie